№ 50. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI: W Warszawie	Adres Redakcyi i Administracyi:	PRENUMERATA WYNOSI: We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.	*Chmielna Nr 26.*	Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
Na prowincyi Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.	Warszawa, dnia 30 Listopada (12 Grudnia) 1891 r.	W Poznaniu Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy roku 1892-go. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Zwraca się uwagę, iż **tylko** drobne kwoty pieniężne przyjmujemy markami pocztowemi, których nie należy przyklejać do listów.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

Pan Michał zerwał się na równe nogi i spojrzał szeroko otwartemi oczami. Szalenie go głowa bolała i narazie nie mógł się zoryentować, o co chodzi. Powtarzał tylko:

— Okradli... nas okradli? ale jakim sposobem? Ja nie odchodziłem z domu ani na krok.

— Jednak... jesteśmy okradzeni... i to grubo.

— Co nam ukradziono?

— Srebra... wszystkie srebra z kredensu, żeby chociaż parę łyżeczek zostawił... ot, doprawdy, miałam złe przeczucie, wyjeżdżając na tę szkaradną wieś.

— Ależ moje dziecko!

— Nie, nie, kochany mężu. Odrazu przerażona byłam na samę myśl zamieszkania w tej pustyni. Dobrze że nas jeszcze nie zamordowano... Wyrzucone pieniądze i niebezpieczeństwo utraty życia!

— Moja droga! Pozwól przedewszystkiem myśli zebrać... Skoro jesteśmy okradzeni, to trzeba wyśledzić przez kogo, dojść, zbadać, złodzieja gonić, dać znać policyi.

— Ciekawam bardzo jakiej?... gdzie na tem wygnaniu jest policya! Tu w biały dzień mogą zabijać i nikt na pewno nie przyjdzie.

Pan Michał nie słuchał już lamentu żony. Oblał sobie głowę zimną wodą i zaczął wypytywać służbę, czy kto obcy nie wchodził do dworku.

— Ano, juści że wchodził — rzekła kucharka.

— Jaki, kto, kiedy? Czemuście go nie przytrzymali?

— O la Boga, a dyć jadł z panem obiad, jakżeśmy go mieli przytrzymywać.

— Kto? ten pan? przecież on Marysin kupił i pewnie śpi w drugim pokoju.

— A juści, śpi! zaraz po obiedzie zabrał się i poszedł. Gadał coś z Walentym na dziedzińcu, a potem poszli oba razem. Ja zaraz zmiarkowałam, że to złodziej, takie miał ślepie świdrowate, a z podełba patrzył, jak zbójca.

— Wołać mi tu Walentego.

Za chwilę Walenty już stał na ganku, miętosząc czapkę w ręku swoim zwyczajem.

— Bój się Boga, Walenty, jak mogłeś wypuścić ztąd tego człowieka?

— A dyć to przecie nowy dziedzic!

— Złodziej, ale nie dziedzic.

— A zkąd ja to mogłem wiedzieć, wielmożny panie?

— Okradł nas!

— O la Boga... a żeby ja to był mógł Duchem Świętym przeniknąć, to nie wypuściłbym go z garści, ale...

— Opowiadaj porządnie, jak to było, pokolei, nic nie opuszczcząjąc, rzetelnie.

— Wielemożny panie, jak przed sądem, jak na świętej spowiedzi, nic nie zełżę, jeno prawdę sprawiedliwą powiem, tak mi panie Boże we zdrowem skonaniu dopomóż.

— Gadajże raz!

— Ano... jakeśmy z pola przyszli, panowie poszli sobie do dworu na obiad, a ja zaś do chałupy, też według pożywienia. Dała mi moja barszczu z kartoflami; siadłem sobie na stołku, jem. Jem, jem zjadem, kobieta mówi: naści jeszcze... a ja powiadam: nie... markotno mi, nasz pan, dobry pan już nie będzie, a nowy dziedzic nastaje, właśnie ten grubaśny... A kobieta też położyła łyżkę i powiada: żeby go, niby tamtego, kolka sparła... i już nam obojgu odechciało się jeść.

— Proszę, mój Walenty, mów do rzeczy...

— Po porządku, wielemożny panie. Zapaliłem sobie fajczysko, siadłem na przyźbie, siedzę... aliści patrzę, wyłazi ten grubaśny z dwora, płaszczysko na nim wisi wielkie... wychodzi i kiwa niby na mnie.

— Na ciebie?

— A juści.

— Cóż chciał?

— A no, powiada: folwark kupiłem, ciebie tymczasowo w służbie zostawiam, a na znajomość naści. Wetknął mi w garść dwa złote dziesiątkami, miedzią, i powiada: Wiesz ty, Walusiu, ja sobie do kolei piechotą pójdę... łeb, powiada, boli mnie kaducznie, twój pan mi tego narobił.

— Ja?

— A jeno... twój pan, powiada, bo takie wińsko dał, żeby je psu wlać w gardziel, toby, powiada, wył od Wielkanocy do Zielonych świątek, i bez to mnie, powiada, tak strasznie głowa rozbolała.

— A to łajdak! — zawołał do żywego tknięty pan Michał, — a jam go najlepszem winem utraktował.

— Pewnie że łajdak... Powiada: wyprowadź mnie jako ścieżkami aby pod stacyą, dalej sam już trafię. Wyprowadziłem... No, powiada, jakeśmy przyszli już do samej szosy, teraz idź z Bogiem, panu się pokłoń, a o winie nie wspominaj... lura była bo była, ale że ze szczerości serca, to niech go tam!

— Lura!?

— Tak rzekł, — pokłoniłem mu się nizko i poszedłem ku chałupie.

— I już?

— Ale... nie już... jeszcze jedno. Kiedym uszedł z jakie trzysta kroków, obejrzałem się... Patrzę, a tu na szosie ni ztąd ni zowąd jakaś bryczuszka. On się na nią zaraz wgramolił, ale nie pojechał do stacyi, tylko gdzie się szosa rozdziela na lewo wykręcił ku lasowi.

— Wołaj Mikołaja — krzyknął pan Michał, — Mikołaja, parobków, siadajcie na konie i gońcie; który mi tego łotra przyprowadzi, dwadzieścia pięć rubli dostanie. Ja pójdę na stacyą, telegram poszlę do Warszawy... albo nie, ty, Walenty, pojedziesz na stacyą, zaraz ci na depeszę dam. Żywo tylko, ruszać się...

— Ale jakże takiego miniastego pana brać?

— Poprostu za kark... jak złodzieja, brać i prowadzić do wójta, czy do sołtysa.

Zachęceni obietnicą nagrody, parobcy i Mikołaj rzucili się do koni i popędzili jak wiatr.

Pan Michał zamknął się w swoim pokoju i zawzięcie pisał, ale nie szło mu. Podarł jeden arkusz, drugi i zabrał się do zapisywania trzeciego. W trakcie tego weszła żona.

— Co ty robisz, mężu? — spytała. — W takiem zmartwieniu możesz pisać?

— Mogę — odrzekł opryskliwie.

— I cóż piszesz?

— Ogłoszenie do wszystkich kuryerów i gazet, że niema folwarku do sprzedania, że niema wiadomości u właściciela na miejscu, że nie można nic oglądać na gruncie. Niech ich dyabli porwą! dość już mam tego łażenia po polach, oprowadzania, pokazywania, częstowania lada przybłędy... i poco? poto żebym folwarku nie sprzedał, żeby mnie taki łotr okradł i w dodatku obmówił, żem go struł swojem winem. Dość, dość, moja kochana, wolę to zmarnować, w dzierżawę oddać, cokolwiek zrobić, ale tak jak teraz nie mogę. Nie, na żaden sposób!

— Mój kochany, to do celu nie prowadzi. Owszem, sprzedać trzeba, chodzi bowiem o posag naszej Jadwini.

— Prawda, masz słuszność, ale daj mi myśli zebrać... jestem tak rozstrojony.

— Odłóż więc pisanie na teraz i pomyśl o naszem bezpieczeństwie.

— Bezpieczeństwie? pod jakim względem?

— Mogli nas w dzień okraść, mogą w nocy napaść i zamordować. Czytujesz przecie w gazetach, że na wsi wypadki tego rodzaju są nawet dość częste.

— Przecież dotychczas nikt na nas nie napadł.

— To nic nie znaczy. Dzisiejszy wypadek świadczy, że już się o nas złodzieje zwiedzieli i mają nas na oku. Przysięgłabym, że jesteśmy śledzeni i szpiegowani przez łotrów. W domu dziś niema ani jednego mężczyzny.

— Jakto... a ja?

— A przepraszam, mój drogi, ale ty się nie liczysz. Wysłałeś Walentego, Mikołaja, parobków, zostały w domu same kobiety i ty. Złodzieje byliby bardzo naiwni, gdyby nie skorzystali z tego wyjątkowego położenia.

Pan Michał szeroko oczy otworzył; argumentacya małżonki trafiła mu do przekonania. W rzeczy samej, niebezpieczeństwo może zagrażać i to nawet poważne.

Narazie postanowiono, aby przedewszystkiem zamknąć bramę i straż przy niej powierzyć Walentowej, pozamykać okiennice w dworku i drzwi wchodowe, nie kłaść się spać, palić całą noc światło i czekać powrotu parobków.

Wieczór się zbliżał, mrok zapadał coraz większy, wietrzyk poruszał listkami drzew, które, drżąc, szumiały łagodnie.

Na drodze prowadzącej do Marysina dał się słyszeć turkot. Walentowa pomimo zmroku dostrzegła, że jedzie dwóch mężczyzn, i pobiegła dać o tem wiedzieć do dworku.

— Wpuścić czy nie wpuścić?—spytała, w okiennicę przedtem stuknąwszy.

— Na miłość Bozką, nie wpuszczajcie nikogo!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOBIETA
W KRAJU PIRAMID.

Wobec żywego zajęcia, jakie kwestya niewieścia budzi od lat wielu w świecie cywilizowanym, nic dziwnego iż autorzy, którzy poświęcają jej czas swój i studya, usiłują nietylko patrzeć w przyszłość, lecz sięgać i do przeszłości. Dzieje bowiem minione stanowią z teraźniejszością łańcuch nierozerwalny, w którym ogniwo po ogniwie śledzić możemy rozwój cywilizacyjny i obyczajowy ludzkości, oraz miejsce w rozwoju tym przez kobietę zajmowane.

I oto spostrzegamy, że, o dziwo, idea równouprawnienia płci obu nienową jest bynajmniej. Przed trzema tysiącami lat wprowadzały ją poczęści w życie narody liberalniejsze od nas, wolnomyślnych przedstawicieli XIX stulecia.

Nie mowa tu, rzecz prosta, o zrównaniu mężczyzny i kobiety w pracy zarobkowej, bo ta ostatnia była w owych czasach udziałem niewolników przeważnie, lecz o przywilejach, jakie nadawano jej wobec rodziny i wobec prawa.

Późniejszy wpływ szczytnych zasad chrześciaństwa, tej religii miłości i równości, która dźwignęła kobietę z haremowej niewoli, czyniąc ją strażniczką i kapłanką uszlachetnionego ogniska rodzinnego, znany jest ogólnie.

Chodzi jednak o dawniejsze jej dzieje, o przedchrześciańskie stanowisko w krajach, stojących na wysokim szczeblu ówczesnej cywilizacyi.

Rzut oka na ciekawy ten obraz daje nam świeżo doktór Scheff w zajmującej rozprawie pod tytułem „Życie niewieście w starożytnym Egipcie" (Altaegyptisches Frauenleben).

Rzecz ta ani rozmiarami, ani głębią nie nosi na sobie cechy badań szerokich, a samoistnych. Przeciwnie, autor nie przeczy bynajmniej, iż korzysta z owoców pozyskanych dzięki poszukiwaniom słynnych egiptologów i że je zestawia tylko ku pożytkowi pracujących nad kwestyą niewieścią.

Pomimo tego, korzystając z zarysu doktora Scheffa, pozwolimy sobie przytoczyć tu ciekawsze fakta z życia starożytnych Egipcyanek.

Że fakta te odnoszą się przeważnie do kobiet wysokie zajmujących stanowisko, temu trudno się dziwić; zawsze bowiem damy wielkiego świata większy zostawiają po sobie ślad w historyi, nad proste kobiety z ludu. Tem doktór Scheff tłómaczy wyłączność swoich zestawień, zastrzegając i dowodząc zarazem, że w dziejach starożytnego Egiptu spotykamy obyczaje i zwyczaje, które najniesłuszniej uważane były za wytwór późniejszych cywilizacyjnych okresów.

Branie zresztą przykładów z wyższych warstw społeczeństwa podwójnie jest usprawiedliwione. Zarówno bowiem papyrusy, jak hieroglificzne napisy na grobowcach i pomnikach budownictwa o nich tylko mówią. Powtóre zaś, przed trzema tysiącami lat, jak i dzisiaj, niżsi zawsze naśladowali wyższych. O ile więc teraz w Niemczech Wilhelmy i Fritze, o tyle w klasycznym kraju piramid Ramzesy i Sezostrisy, na cześć władzców tak zwane, licznie kraj zapełniały, starając się zapewne odzwierciedlać zwyczaje, których obraz u wyższych warstw poczerpnięty dzieje nam przechować zdołały. Opis zatem warstw wyższych pozwala nam poznać ogół społeczeństw poniekąd.

Dowiadujemy się więc najpierw, iż pomimo ciepłego klimatu, który lekkich tylko szat wymagał, zmienność mody nie obca była Egipcyankom.

Z początku w najodleglejszych czasach nosiły one suknię z lekkiej, wełnianej materyi, gładką, prostą, do kostek sięgającą. W połowie jednak drugiego wieku przed Chrystusem dodały do niej płaszcz, nadający się do dowolnego zarzucania i drapowania. Widzimy więc, iż całość odpowiadała już poniekąd greckiemu peplum i chlamidzie, zachowując jeżeli nie krój ich, to lekkość, prostotę i żywość barw, według osobistego smaku dobieraną.

Uczesanie głowy równym ulegało zmianom.

Najstarsze rysunki wskazują kobiety o włosach gładko rozdzielonych nad czołem i spadających w dwóch (fałszywych zapewne) — dodaje doktór Scheff — grubych warkoczach poza uszami, przez ramię i piersi, aż do pasa. Późniejsze wizerunki każą włosom tym spływać w naturalnych, niekrępowanych falach na plecy. Grzywki nawet, owe wyklinane grzywki, ów dowód „bezwstydnej kokieteryi *fin de siècle*," jak mówią rutyniści, nieobce były Egipcyankom.

Panowie zaś i władzcy naśladowali towarzyszki swe we wszystkiem, nosząc także długie, sfalowane włosy i grzywki, używając barwnych sukien, szminek, oraz wszelkiej broni z arsenału próżności, którą my u kobiet tak gorąco dziś potępiamy.

Małżeństwo — jak nas objaśnia autor, — było nietylko wysoce poważane w Egipcie, lecz stanowiło ostatni wyraz ludzkiej mądrości. Wspaniały papyrus, przechowany w Turynie, zawiera wiele pieśni miłosnych, które zdumiewają głębią i delikatnością uczucia.

„Jesteś mi życiem i zdrowiem" — woła tam jeden z zakochanych do wybranki swego serca; inny zaś śpiewa: „Chwila, w której widzę ciebie, milszą mi jest nad jedzenie i picie." O uroczystościach weselnych nic zato nie wiemy. Z greckich źródeł tylko pozostała wzmianka, iż w bogatszych rodzinach używane były — jak i dzisiaj—umowy przedślubne.

Podania wzamian i dokumenty stwierdzają fakt małżeństw próbnych. Pierwszy rok wspólnego pożycia był tylko rodzajem wzajemnego poznania się. Jeżeli charaktery młodej pary nie odpowiadały sobie, mąż miał prawo, bez żadnych ceremonij, odesłać żonę rodzicom jej po upływie pierwszego roku.

Że zwyczaj ten ogólny znalazłby dzisiaj poklask, o tem nie wątpię nawet. By jednak zwolennicy hymenu nie zazdrościli zbytnio Egipcyanom tego rozumnego urządzenia, czuję się w obowiązku nadmienić, że obecne prawa dodałyby zapewne do małżeństw próbnych jeden drobny warunek. Oto przez pierwszy rok małżeństwa niewolno byłoby prawdopodobnie dotknąć posagu żony.

Próba z kosztami urządzenia domu, a posagiem przez szkło oglądanym, phi! to znów rzecz niezbyt ciekawa!

A jednak, dzięki jej może, stosunek w Egipcie między małżonkami, o ile z pozostałych świadectw sądzić wolno, do wzruszająco tkliwych należał. Że zaś najczulszą pieszczotą było określenie „droga siostro," należy więc mniemać, iż związki rodzinne opierały się wogóle na podstawie uczucia i szacunku dla kobiety.

Oto na dowód opowiadanie poczerpnięte z papyrusu przechowanego w Turynie:

Pewnemu człowiekowi umarła żona. Stratę tę odczuł on tak silnie, iż nic go rozerwać, nic zająć nie mogło. Napróżno próbował pracy lub zabawy; żadna rozweselić go nie była wstanie. Znużony życiem, zgnębiony smutkiem, zachorował. Wtedy to jeden z kapłanów poradził mu, aby napisał list do zmarłej żony i położył go na jej mogile.

Oryginalne to pismo brzmiało, według papyrusu, jak następuje:

„Co ja ci złego zrobiłem, że mnie tak dzisiaj karzesz? Odkąd zostałem twoim małżonkiem, nie popełniłem nic takiego, cobym przed tobą ukrywać potrzebował, a przecież związały nas śluby, gdy byłem jeszcze młodzieniaszkiem. Nigdy cię nie opuściłem, nigdy świadomie najmniejszego nie przyczyniłem ci cierpienia. Gdy uczyłem oficerów królewskiej piechoty i królewskich bojowników na wozach, kazałem im przechodzić koło naszego domostwa, by ci się do nóg rzucali i by ci znosili podarki. A kiedy zachorowałaś, pobiegłem do najlepszego lekarza, sam ci przyniosłem uzdrawiające lekarstwo i wszelkie twe spełniałem życzenia. Wzięty przez króla w podróż daleką, myślą bawiłem ciągle przy tobie i przez ośm miesięcy jeść ani pić nie mogłem. Powróciwszy, prosiłem o zwolnienie ze służby, zasiadłszy zaś wraz z twymi służebnikami i służebnemi przed domostwem naszem, opłakuję zgon twój rzewnie a wiernie."

Głębszej poezyi uczucia nie potrafiłby zapewne okazać żaden z współczesnych małżonków, choć niejeden mniej szczerą swą tęsknotę w lepszą, być może, przybrałby formę.

Nie przeczymy zresztą, iż ta wysoka cześć dla kobiety szła w parze z wyższą tylko kulturą.

Wśród niższych i ciemniejszych, a zarazem uboższych warstw społeczeństwa egipskiego, małżeństwa próbne szerzyły zgniliznę moralną i niezwykłe zepsucie obyczajów. Żony, porzucane po rocznem pożyciu, przeciągały kraj, szukając nowych związków i nowych przyjaciół. Do jakich to prowadziło powikłań, łatwo bardzo zrozumieć.

Zastrzegamy jednak, iż przeciw rozstaniu się z nowo-poślubioną po rocznej próbie stanowiły zaporę stosunki rodzinne i towarzyskie, bojaźń narażenia sobie całych grup ludzi krwią lub przyjaźnią związanych, obawa o utratę korzyści materyalnych i mnóstwo innych względów, które, poparte jeszcze wzajemnem uczuciem, zabezpieczały zgóry oblubienicę od podobnej zniewagi.

Wielożeństwo, jakkolwiek prawem dozwolone, do równie rzadkich ograniczało się wypadków. Nawet panujący, jednę tylko pierwszą żonę uważał za prawowitą władczynię i ta nosiła tytuł „małżonki boga." Po owdowieniu pozostawała często przy władzy, a nazywana „królową-matką," za życia nieraz stawała się przedmiotem boskiej czci pogańskiej.

Na tem więc polu równouprawnienie najwyższych dosięgało granic.

Niestety jednak, nie znosiło ono życia haremowego i wszystkich z próżniactwem jego i demoralizacyą połączonych występków. Zapuszczając też na tę kartę obyczajów zasłonę, doktór Scheff nadmienia tylko, iż nie mogło być inaczej, skoro na przykład jeden z władców Egiptu otrzymał raz, jako przyjazny podarek od europejskiego monarchy, 217 najpiękniejszych dziewic. Dołączmy do tego wpierw już zamknięte w murach haremu córy Egiptu, a nie zadziwi nas, iż w ulu tym wrzeć ciągle i kipieć musiało.

Ztamtąd też wychodziły najzawilsze spiski polityczne, ztamtąd sprzysiężenia, w które kobiety te wciągały wszystkich swych krewnych i powinowatych. Nieraz też tron Faraonów drżał w posadach wskutek próżniactwa i dyplomatycznych intryg tych pięknych główek, które za niewolę swą w ten mściły się sposób.

Podczas gdy taniec, muzyka i knowania były jedynem zajęciem królewskich haremów, małżonka władzcy, narówni z każdą przewodniczką egipskiej rodziny, trudne miała i poważne nadzwyczaj zadanie do spełnienia. Karmiąc własną piersią dziecię do trzeciego roku życia i na własnych nosząc je barkach, odpowiedzialną była następnie za całe jego wychowanie, nader u klas wyższych staranne, którem sama czynnie kierowała. Takiej bezstronności w stosunku rodzinnym i takiego uświęcenia praw matki, jakie widzimy w kraju piramid, nie spotykamy u żadnego ze współczesnych ucywilizowanych a chrześciańskich narodów.

W starożytnym Egipcie na przykład, syn, jako oznakę czci dla rodzicielki, nosi nazwisko nie ojca lecz matki, a prawa krajowe zwyczaj ten uświęcają. To samo spotykamy na wschodniem wybrzeżu Afryki, w prowincyach Ameryki, opanowanych przez Hiszpanów, oraz — jak niosą podania — u dawnych Arabów i Izraelitów. To więc, co u narodów dzisiejszej epoki ujemne piętno stanowi, tam było wyrazem czci najwyższej dla kobiety. Staroegipska przypowieść nakazuje też przedewszystkiem:

— Czcij swoję matkę! Bo gdybyś nie był jej posłusznym, wzniesie ona ręce do nieba (z prośbą o karę) i Bóg sam żądań jej wysłucha.

Na obrazach grobowych ryją starożytni Egipcyanie wizerunek matki tylko; o ojcu rzadko nader jest mowa.

Mężczyzna, chcący podnieść swe stanowisko, mówi: „Jestem synem tej a tej!" O rodzica nikt go się nie pyta.

Jak więc widzimy — kończy autor, — stanowisko małżonki było w starożytnym Egipcie nader zaszczytne i ogólną czcią otoczone. Kobieta, będąc towarzyszką mężczyzny, używała wobec niego praw zupełnej równości, a nawet pod wielu względami wyższemi od niego cieszyła się przywilejami.

Panowanie Islamu dopiero wtrąciło ją w otchłań poniżenia i zależności, z której zbudzona w ostatnich czasach, otrząśnie się wkrótce, ku sławie dzielnych swych prababek i całej cywilizowanej ludzkości.

A. K.



literacka.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Literatura francuzka, jak mówiliśmy już nieraz, przechodzi smutną chwilę przesilenia. Serca wystygły, umysły, przesiąkłe pesymizmem, patrzą na świat przez czarne, zakopcone szkiełka. Czy to w powieści, czy w dramacie i komedyi, widzimy, nie jak dawniej, rzeczywisty obraz życia, ale raczej jego fotografią i to bardzo zeszpeconą, bez najdrobniejszego promyka ideału. To samo przedstawiają nam pamiętniki współczesne.

Niedawno oto pan Lano odmalował dwór tuilleryjski za drugiego cesarstwa. Pokazuje tu cesa-

rzową Eugenią jako próżną, lekkomyślną kobietę, zajętą wyłącznie strojem i zabawami; odmawia jej wszelkich wyższych popędów, nie uwzględnia nawet czynów miłosierdzia, o których długo świadczyć będą założone przez nią dobroczynne instytucye.

Na te potwarze odpowiada dziś bezimienny autor. Nie są to czcze frazesy zagorzałego imperyalisty; każde słowo niezbitym poparto dowodem.

Pierwszym czynem cesarzowej Eugenii był założony przez nią dom przytułku; poświęciła na to 600,000 franków, zawotowanych przez radę municypalną paryzką na dar brylantowego naszyjnika. List jej zachowano w archiwach.

„Uszczęśliwicie mnie panowie — pisze cesarzowa do członków rady, — jeśli sumę przeznaczoną na klejnoty zechcecie obrócić na miłosierną instytucyą. Pragnę jedynie podzielać z cesarzem miłość i szacunek Francuzów!"

Niepodobna wyliczyć zakładów dobroczynnych, szpitali, ochron, żłobków, tanich kuchen, domów przytułku, tak w Paryżu jak w całej Francyi, uposażonych szczodrze przez cesarzową; wszystko to wsparte dowodami.

Raz na tydzień, ubrana najskromniej, sama z siostrzenicą objeżdżała najciaśniejsze zaułki Paryża, własną ręką opatrywała biednych. Wycieczki te pokryte były tajemnicą; dwór ich się nie domyślał. Bez względu na trudy, na przykre wrażenia w blizkiem zetknięciu z nędzą, nieustraszona niczem Eugenia przez ciemne wschody piątego lub szóstego piętra wdzierała się na stęchłe poddasza, niosła wsparcie rodzinom biednych robotników, chorym słowa pociechy.

Po tych odwiedzinach posyłała im odzież, bieliznę i lekarza; ubodzy nie wiedzieli, zkąd im przychodzi pomoc.

Czyny te, po większej części ukryte, miały niekiedy bohaterski charakter. Gdy w roku 1868 cholera dziesiątkowała ludność miasta Amiens, gdy wskutek przestrachu dozór szpitalny, z wyjątkiem sióstr miłosierdzia, zaniedbywał się w pełnieniu ciężkiej służby, cesarzowa, posłyszawszy o tem, przełamuje stawiane sobie trudności, pośpiesza sama do zapowietrzonego miasta, przebiega sale szpitalne, zatrzymuje się u łoża chorych i konających. Widok jej napełnia serca otuchą, przywraca porządek, budzi energią w dozorcach. Odwiedziny te pomyślnie oddziałały na umysły, a ztąd na ogólny stan zdrowia.

Nieznajomy autor podnosi wielkie zasługi cesarzowej, jako matki. Sama kierowała pierwszem wychowaniem dziecka, co jej z niesłychaną przychodziło trudnością. Niedość że z całą energią walczyła przeciw dworskim pochlebcom, ale, co więcej, stawiała opór samemu cesarzowi, który szalenie kochał syna i psuł go zbyteczną pobłażliwością.

Podczas ostatnich klęsk wojennych, autor podziwia odwagę i moc duszy cesarzowej-regentki. Przytacza jej wyrazy wielokrotnie powtarzane: „nie myślcie panowie o dynastyi, ratujcie tylko Francyą."

W przeddzień bitwy pod Sedanem, kiedy na radzie ministrów toczono spory o zreorganizowanie korpusu Mac-Mahona, a nikt nie śmiał poruszać dwudziestu tysięcznej załogi pozostałej w Paryżu pod dowództwem generała Vinoy, regentka wyrzekła piękne słowa wpisane do historyi:

„Jakiż to wyrzut obciążyłby sumienie nasze, gdyby nam kiedyś powiedziano, że udział tych dwudziestu tysięcy mógł zamienić klęskę w zwycięztwo, żeśmy je trzymali bezczynnie w Paryżu dla osobistej obrony naszej! Nie traćmy chwili, generał Vinoy ma natychmiast wyruszyć w pole."

Dlatego to w dniu 4 Września korpus generała Vinoy nie znalazł się w Paryżu!

W tych chwilach stanowczych Eugenia okazała nadzwyczajną moc duszy. Kiedy stronnicy cesarstwa skłaniali ją do złożenia obowiązków regentki na rzecz komisyi wybranej z członków izby, zapewniając że tym sposobem ocali dynastyą, oświadczyła stanowczo: „Przyszłość dynastyi naszej obojętna dziś dla mnie. Wobec bolesnych i strasznych prób, jakie mnie przygnębiły, mało mi idzie o zachowanie korony dla męża i syna mego, pragnę jedynie spełnić godnie do końca powierzony sobie obowiązek. Jeśli ciało prawodawcze sądzi, że jestem zaporą do uorganizowania oporu, niech mi odbierze władzę, w takim razie opuszczę z honorem stanowisko swoje. To, czego żądacie, byłoby haniebną dezercyą."

Słowa te, zapisane w protokułach, przynoszą najwyższy zaszczyt cesarzowej Eugenii.

Nastąpiła ostateczna katastrofa. Powstanie wzięło górę. Zmuszona opuścić Tuilleries, cesarzowa, nie chcąc narażać wiernych swoich na niebezpieczeństwo, nie przyjęła ich straży; pod osłoną dwóch ambasadorów, Meternicha i Nigry, schroniła się pod dach cudzoziemca, doktora Ewansa, obywatela Stanów Zjednoczonych.

Ledwie że odetchnęła na ziemi wygnania, nowe, srozsze jeszcze uderzyły w nią ciosy. Śmierć cesarza Napoleona okryła ją żałobą, wkrótce potem poległ syn ukochany, jedyna jej nadzieja. Ten ogrom nieszczęść nie rozbroił potwarców; cesarzowa Eugenia znosi obelgi z religijnem poddaniem się, przekonana, że prędzej czy później Francya odda jej sprawiedliwość.

* * *

Wyszły z druku w przekładzie francuzkim trzy tomy pamiętników zmarłego generała pruskiego Moltkego. Zajęły one żywo Francuzów, obejmują bowiem szczegółowy opis wojny 1870 — 1871 roku, w której wielki strategik tak stanowczą odegrał rolę. Pomijamy tę specyalną stronę dzieła, tak niedostępną dla nas, a jak sądzimy i dla czytelniczek naszych, zobaczymy tylko późniejszego pogromcę Francyi, jako dwudziestokilkoletniego młodziana, potulnego syna, miłośnika ogrodu, wisien, a co więcej i młodych Polek.

Czwarty tom obejmuje listy Moltkego do matki. Ich francuzki przekład dotąd nie wyszedł z druku. Kilkanaście ogłoszono w tutejszych przeglądach; wybieramy z nich najciekawsze.

W początku roku 1823, młody Helmuth Moltke tak pisze z Frankfurtu nad Odrą:

„Droga matko, za chwilę brat mój Ludwik wyjeżdża do Preetz; posyłam list przez niego. Wyobrażam sobie wielką radość, jaką sprawi ci jego przyjazd, i jak on sam będzie szczęśliwy. Twój ogródek pełen zapewne truskawek i młodego groszku. Tu wiosna prędko ubiegła, niewiele jej użyłem.

„Naszkicowałem młyn pod Frankfurtem, gdzie często odbywam przechadzki, poślę ci go w liście, jeśli zdążę wykończyć. Przyślij mi zato widok Preetz, który zostawiłem nieskończony. Proszę też, przyślij mi trochę włosów swoich, Leny, Guty i Wipsa (Wiktora). Mam medalionik, w którym będę je zawsze nosił. Rad jestem, że za powrotem Ludwika dowiem się, co tam u was słychać.

„Nie jestem jeszcze pewien, czy wstąpię jesienią do wyższej szkoły wojskowej. Zależy to od mojej pracy. Jest nas wszystkich sześćdziesięciu ośmiu uczniów, z tych wybiorą pięćdziesięciu celujących.

„Odbywamy ćwiczenia conajmniej raz na dzień, wieczorem kąpię się w rzece z towarzyszami, przepływamy Odrę, która w tej chwili bardzo wezbrała wskutek deszczów i zalała okoliczne pola. Idziemy potem do ogródka na wiśnie i na mleko. Czy są już wiśnie w ogrodzie twoim?

„Zasyłam życzliwe wyrazy siostrom i bratu. Przebacz, droga matko, pośpiech z jakim piszę i myśl często o kochającym synu.

Helmuth."

We dwa miesiące potem młody Moltke przebywał w Ober-Salzbrunn, gdzie pił wody. Ztamtąd pisze znowu do matki:

„Po trudach tylko wolno nam odpoczywać. Nie mam powodu uskarżać się na losy, trudnoby też przebaczyć jeremiady moje, gdyby jakiś stan fizyczny nie usposabiał mnie do smutku. Mam nadzieję, że wody mi pomogą, tak sądzę z otrzymanych już rezultatów. Wtedy z podwójnym zapałem puszczę się ciernistą drogą, na której sam jeden, zdala od was, uganiać się muszę za szczęściem. Bodajbym je zdobył dla was wszystkich!

„Bawi tu młoda panienka, warta prawdziwie zostać synową twoją. Jest-to hrabianka Rejchenbach, piękna i bardzo miła; kochałabyś ją, pewien jestem, cóż ztąd, kiedy uboga!

„Polacy, których tu widuję, wszyscy dobrze wychowani, przyjemni i weseli, ale nie mogę myśleć o polskiej dla ciebie synowej. Zaprosiła mnie bardzo uprzejmie do swego domu przebywająca tu Polka, starościna Obruczewska.

„Ta wielka pani ma kucharza, jadamy u niej na srebrnej zastawie przewyborne potrawy. Mówi doskonale pofrancuzku. Jej córka bardzo ładna, ona sama najweselsza z kobiet, jakie widziałem. Ale cóż, kiedy moja sakiewka bardzo wypróżniła się na podróż do Drezna i na berlińskie długi. Muszę być nadzwyczaj oszczędnym.

„Szczęściem przyjaciel mój, von Frobel, zaprosił mnie gościnnie do domu swego w Glatz; będę więc mógł żyć czas jakiś, nie rozwiązując woreczka. Lękam się, czy będzie o czem przepędzić u wód drugi miesiąc, bo nie trzeba zapominać i o kosztach powrotu."

Właśnie gdy Moltke wybierał się do Polski, otrzymał 30 franków, dołączył do nich 18 oszczędzonych, z tą sumą wyruszył naprzód do Glatz, gdzie miał spędzić czas jakiś darmo.

W roku 1828 przebywa Moltke w Gutterbergu u p. von Klejst. Jest tam od pięciu tygodni, opływa we wszystko, jak pączek w maśle. Donosi matce o tem.

„O pół do piątej zrana przynoszą mi imbryczek z kawą, a dotego talerz pełen ciast i tartinek. Gościnność tu prawdziwie szkocka. Wychodzę potem z domu, zdejmuję plany topograficzne, to zabiera czas do obiadu. Myślę tylko, czy dam radę wybornym przysmakom, jakie na stole zastawiają. Wieczorem nowa uczta, zakrapiana hojnie węgrzynem. Ztąd wypływa że jestem zdrów i zupełnie zadowolony.

„Ponieważ teraz pobieram cztery razy tyle co Fritz i Wilhelm, mogę odkładać pięć talarów na miesiąc; przez dziewięć miesięcy uczyni to 45 talarów; oddam je pod twoje rozporządzenie."

W roku 1829 powrócił do Berlina, ztąd pisze do matki, przedstawiając jej swój budżet.

„Zająłem dawny swój lokal, płacę dziewięć talarów za pokoik, w którym bardzo mi dobrze.

„Wczoraj posłałem pięćdziesiąt talarów krawcowi swemu. Zostało mi czterdzieści oszczędzonych. Trudno tu myśleć o nowych oszczędnościach."

Dodaje do tego w przypisku:

„Z mojemi koszulami smutna sprawa; bardzobym chciał otrzymać nowe. Nie pragnę więcej nad trzy, bo w mojem życiu koczowniczem większa liczba byłaby próżnym ciężarem, a niejedna mogłaby zginąć w drodze. Nie potrzebuję cienkich koszul, takie jak miałem dotąd bardzo dobre. Ale gdybyś chciała dodać do nich mankietki, byłbym rad z tego."

Na ten sam ton naiwny prowadzona jest cała korespondencya z matką. Syn opowiada jej najdrobniejsze szczegóły z życia, mówi o pracach swoich, o nadziejach na przyszłość. Mianowany porucznikiem, wkrótce potem otrzymał stopień kapitana, w końcu 1835 roku udaje się z misyą do Konstantynopola. Opisuje doznane wzruszenie i sposób życia nad Bosforem. Ostatni list pisany w Lutym 1837 roku. W parę miesięcy potem śmierć matki przerwała korespondencyą.

ODCZYTY.

IV.

W plejadzie popularyzującej się wiedzy przyrodniczej błyszczały znowu w ubiegłym tygodniu dwa promyczki: jednym z nich był odczyt pana Milicera o winie, drugim prelekcya doktora Fabiana o pracowni i siedlisku myśli ludzkiej — mózgu.

O ile wino jest środkiem ożywiającym szare tło codziennych trosk życiowych, wyraża się to w pewnem powszechnie znanem przysłowiu, jak również i w danych historycznych, wykazujących stałą sympatyą rodu ludzkiego do tego płynu, a uwydatniającą się nawet u kolebki ludów, co prawdopodobnie jest wynikiem pewnych specyficznych własności wina, które usposabiają do optymizmu; lecz o ile wino owo może być interesującym tematem nietylko wśród wiwatów hucznej biesiady i tradycyjnego mazura, dowiódł prelegent, odsłoniwszy szerszemu kołu publiczności rąbek zasłony, kryjącej zjawiska chemii organicznej.

To też na osnowie tej myśli utkał pan Milicer barwną wstążkę swego odczytu, zapoznawszy przedewszystkiem publiczność ze składnikami wina, występującemi głównie w trzech postaciach: wody, alkoholu i ciał azotowych tudzież mineralnych, powstających po odparowaniu wina w kształcie brunatnej masy.

Dalszym wątkiem zadania mówcy było zapoznanie publiczności z pierwotnemi składowemi cząściami ciał wyżej wymienionych. Mieliśmy zatem okazany skład chemiczny wody, utworzonej przez połączenie tlenu z wodorem i alkoholu, będącego związkiem również wodoru, tlenu a także i węgla, które to prawdy uzmysłowione zostały szeregiem oryginalnych i zręcznych doświadczeń.

Następnie mówca, przy pomocy talentu, który pozwala kwestyą zawiłą przedstawić w formie przystępnej, okazał słuchaczom przebieg alkoholowej fermentacyi, czyli przemianę cukru gronowego (glukozy), zawartego w moszczu winnym, w alkohol.

Ponieważ rozpadnięcie się cukru gronowego na alkohol i bezwodnik tlenku węgla jest wynikiem procesów życiowych pewnych drobnoustrojów, zwanych powszechnie drożdżami, a posiadających w naukowej terminologii miano mykodermu, przeto prelegent przedstawił najpierw tablice owych drożdży, objaśnił ich biologiczne procesy i, okazując balonik szklany, zawierający moszcz winny sterylizowany, to jest odosobniony od wpływu powietrza, a tem samem niezawierający fermentu i alkoholu, wymownie dowiódł, że tylko wspomniane drożdże wywołują w moszczu alkoholową fermentacyą.

Następnie pan Milicer wykazał słuchaczom przyczynę wywołującą kwaśnienie wina, czyli przebieg tak zwanej fermentacyi octowej, i przeszedł do nakreślenia obrazu rocznej produkcyi wina.

Tu mówca zabarwił szary koloryt danych statystycznych, tyczących się produkcyi wina, bardzo konkretnem porównaniem, przelewając całą masę wytwarzanego rocznie w Europie troski kojącego płynu w koryto Wisły, które w danym razie przedstawiałoby sobą kilkunastowiorstową przestrzeń, wypełnioną ulubionym nektarem Bachusa, a może i niejednej z pięknych mieszkanek Olimpu.

* * *

Wytyczną linią prelekcyi doktora Fabiana o mózgu było nakreślenie w ramach godzinowej pogawędki fizyologicznego szkicu o organizacyi i funkcyach tego centrum, z którego przędą się nici myśli, czynów, uczuć i namiętności ludzkich.

Zadanie niełatwe do rozwiązania, ze względu na ogrom samego przedmiotu, jak również na cienkość tej warstwy wiedzy przyrodniczej, jaką szerszy ogół słuchaczów nosi pod maską salonowego blichtru, perfum angielskich i pięknych frazesów, płynących z wdzięcznych usteczek, może bogatą w formę, lecz często w treść ubogą kaskadą.

Ufni jednakże w głęboką wiedzę i znajomość przedmiotu prelegenta, śmiało przestąpiliśmy próg audytoryum i poznaliśmy na wstępie pewną biologiczną prawdę, a-mianowicie, że każdy z naszych organów urabia się i potężnieje wmiarę używania czego, w danym wypadku dowiodło zacytowanie przez szanownego mówcę kilku danych wyrażających wagę mózgu osobników inteligentnych, a więc myślicieli, poetów, uczonych i artystów i porównanie tych danych z zawartością czaszek indywiduów, siedzących na szarym końcu intelektualnego stołu.

Potem pan Fabian przedstawił publiczności kartę anatomiczną przedmiotu. Poznaliśmy szarą, wierzchnią substancyą mózgu o komórkowej konstrukcyi i wewnętrzną zawartość siedliska myśli, charakteryzującą się organizacyą o naturze włóknistej.

Słyszeliśmy coś o poglądach na mózg Arystotelesa, uważającego organ ten jako substancyą krew chłodzącą, a którego znaczenie w krainie funkcyj fizyologicznych określiły najnowsze i przytem czysto pozytywne badania; widzieliśmy modele uzmysławiające nam labirynt, w którym przędą się rozkoszne marzenia o jasnowłosych aniołkach i czarnookich demonkach i snują się pajęcze nici romantycznych myśli, splatających się często w trudną do rozerwania siatkę i... zaciekawieni tak interesującym przedmiotem, zmuszeni zostaliśmy pożegnać sympatycznego mówcę przed ukończeniem wykładu szczerem życzeniem pozbycia się jaknajprędzej nieznośnej influenzy, która, trapiąc nasze czytelniczki, na domiar złego zarezerwowała sobie ciekawość sobotnich słuchaczów do środy.

Br. Wyganowski.

Emil Vacano.

TESTAMENT MOJEGO STRYJA.

NOWELA

przełożyła

WŁ. I.

(Dalszy ciąg.)

Na dworze huczała burza ze śniegiem, czułem się jednak spokojnym. Nie sądziłem nigdy, aby to stare mieszkanie mogło stać się tyle przyjemnem i aby śnieżysta noc zimowa mogła mieć tyle powabu.

Raz jeszcze spojrzałem na biedne dziewczę zadumane w fotelu, by się przekonać czy czego jej nie brakowało.

Ogień żywo płonący w piecu począł ją widocznie ogrzewać, gdyż jej pobladłe przedtem jagody przybrały barwę różanną, jaką zapewne zwykle posiadały. Chwilami ukrywała twarz w dłoniach i zdało mi się, że ją słyszę łkającą zcicha.

Zatrzymałem wzrok na niej z uwagą. Lecz nie... to nie mogły być łkania, może ona usnęła?

Wydała mi się tak samotną i opuszczoną, tak zrozpaczoną, to dziewczę tyle odważne i energiczne przed chwilą, iż uczułem się pełnym siły i zapału do bronienia jej przeciw nieszczęściom życia.

Oddawna nie patrzyłem w przyszłość z taką pogodą i odwagą. Pełen nadziei, złamałem pieczęć listu, czytając co następuje:

„Kochany mój siostrzeńcze!

„Czuję, iż życie moje ma się ku schyłkowi. Było ono i tak zbyt długie. Czas, ażeby śmierć nadeszła już wreszcie. Życie jednakże, choćby najdłuższem było, wydaje nam się krótkiem w ostatnich chwilach.

„Ach! pozostaje mi jeszcze tyle do zrobienia! Czemuż nie mogę przeżyć sam siebie i osobiście wykonać ostatniej swej woli? Gdy to jednakże nastąpić nie może, widzę się w konieczności pozostawienia innemu tego na ziemi, czego mi śmierć samemu spełnić nie dozwala.

„Tym innym ty będziesz, Erwinie. Znam ciebie dobrze, choć przez czas długi obcy ci byłem zupełnie. Kochałem bardzo twojego ojca, a mego zacnego brata. Drogi życia jednakże rozdzieliły nas obu. Podczas gdy jego prostota i skromność charakteru przykuwały go wyłącznie do biurka nie dozwalając mu ponad mierność nie pragnąć więcej, mnie zamiłowanie sztuki i życie błyszczące w świat nęciły.

„Wkrótce jednakże miłość i szczęście opuściły mnie, a to szczęście było niegdyś tak wielkie, iż dla niego zapomniałem o wszystkiem i wszystkich

„Odkąd to szczęście opuściło moje domowe ognisko i pozostawiło mnie w samotności, serce moje odwróciło się od ludzi, zapragnąłem żyć sam ze smutkami swojemi.

„Dziś, gdy widzę zbliżającą się śmierć ku sobie, spostrzegam że wszystkie lata spędzane w samotności zostały dla mnie stracone, że nie mam nikogo, komubym mógł powierzyć spełnienie tego, czego nie będę mógł sam wykonać. Nie mam nikogo prócz ciebie i ufam tobie całkowicie. Przedstawiono mi ciebie jako człowieka honoru, skromnego, miłującego pracę, poświęcającego się naukom, niepodlegającego żadnym namiętnościom, szczerego, prawego i uczciwego. Żyjesz sam jak ja na świecie i jak ja wolnym jesteś.

„Na wezwanie moje przybyłeś i ujrzałem w tobie odmłodzoną postać mego zmarłego brata; poznałem w twojem spojrzeniu żeś odziedziczył jego prawość charakteru, kocham cię, mam ufność ku tobie i w ręce twoje składam święty obowiązek.

„Chcę ci opowiedzieć przedewszystkiem w kilku wyrazach, co trzeba, ażebyś wiedział. Czas ściśle jest mi wymierzonym, zwiększone cierpienie położy nareszcie kres życiu mojemu, oczy moje zaciemniają się, serce coraz wolniej uderza.

„Nie byłem już młody, gdym poznał we Włoszech signorę Ellenę. Byłem natenczas dyrektorem muzyki kościelnej w Neapolu i w operze Lorini.

„Ellena Chiari pochodziła ze szlachetnej starożytnej włoskiej rodziny i została śpiewaczką jedynie przez miłość dla sztuki.

„Jakże ci ją opiszę? Była to genialna, czarująca kobieta; ukochałem jej duszę. Czy ona kochała mnie wzajem? Być może że czuła dla mnie tylko wdzięczność uczennicy, gorącą, entuzyastyczną wdzięczność, tego nie wiem.

„Zaślubiłem ją. Byłem szczęśliwy, niewysłowienie szczęśliwy. Małżonka moja opuściła teatr i przybyliśmy do mego rodzinnego kraju.

„Jakże ci wystawić pierwsze lata szczęścia naszego, pędzone bez chmurki, bez cienia smutku? Żyliśmy w sztuce oboje i sztuką, w dźwiękach różnych epok i czasów; sztuka wytworzyła nam raj ziemski.

„Spojrzyj na portret wiszący nad mojem łóżkiem, to portret jej matki, hrabiny Niny Chiari, i zarazem uderzający podobieństwem portret Elleny.

„Dziecię nasze nazywa się Angelina. Posiada ona oczy swej matki, uśmiech matki, duszę swej matki. Dziecię to było jedyną nadzieją mojego życia!

„Gdy Angelina miała lat siedm, matka nagle wraz z nią zniknęła. W ostatnich latach zauważyłem że Ellena była ponura i smutna. Uśmiechała się gdym pytał jej o przyczynę troski i prosiła, bym się uspokoił.

„Pewnego dnia zniknęła wraz z dzieckiem. Domyśliłem się, że tęsknota pociągnęła ją ku tryumfom pierwotnego życia i że jej miłość dla mnie była chwilą ekstazy, wywołanej miłością dla sztuki. Być może że nie pragnęła tryumfów młodości, lubiła jednak wrzawę, blask, odmianę, słowem to życie artystyczne, jakie wycieńcza nam serce, nie pozwalając zasmakować w ciszy.

„Zostałem sam. Nie chciałem biedz za nią, ani jej odnajdywać. Czyż jednak egzystencya taka mogła mnie uczynić szczęśliwym? A Angelina? O! onaby mnie nie opuściła, ona mnie prawdziwie kochała.

„Dziecię me drogie! tyś była częścią mej duszy, wraz z tobą radość zniknęła dla mnie na wieki!

„Starzałem się szybko po ucieczce Elleny. Dziś, po latach piętnastu, jedną nogą stoję już w grobie.

„Nie starość to jednak okryła twarz moję zmarszczkami, ale smutek i boleść, samotność i gorycz uczyniły mnie tem, czem jestem.

„Przed sześciu laty słyszałem mówiących o Ellenie. Śpiewała we Florencyi pod nazwiskiem Barini. Krytykowano ją złośliwie, jako zagasłą już gwiazdę.

„Przeczucie mówiło mi, że to była ona. Dowiadywałem się przez jednego ze znajomych we Florencyi o szczegółach głosu tej artystki. Doniósł mi, że świetnie jeszcze śpiewała i że miała córkę przy sobie, śliczne młode dziewczę, które w Paryżu debiutowało w roli Adalgizy, obok swej matki, i zyskało liczne pochwały. Ellena sama kierowała jej artystycznem wychowaniem.

„Jestem umierający. Gdybym był pewien, że przyszłość mej córki i jej matki zapewnioną została, zapisałbym wszystko tobie, Erwinie. Znam jednak smutne następstwa losu śpiewaczek w latach późniejszych.

„Gdyby więc Angelina znalazła się kiedy w niedostatku, gdyby ujrzała się samą i opuszczoną na świecie, gdyby wypadek jaki głosu ją pozbawił?

„Znam ciężkie okoliczności, gdy gwiazda artystyczna gaśnie w nieszczęściu i osieroceniu. Oziębłość publiczności, zły związek, jedno nic drobne może zwichnąć egzystencyą śpiewaczki, pozostałej na świecie bez opieki.

„Ty mnie rozumiesz, Erwinie, pojmujesz, że Angelina winna odnaleźć domowe swoje ognisko, jeśliby wróciła tu kiedyś z swą matką, smutną i opuszczoną.

„Gdyby jednakże jej matka dowiedziała się o mojej śmierci, nie wróciłaby już tu więcej. Gdyby zastukawszy do drzwi mojego mieszkania, dowiedziała się od sąsiadów, że starzec samotny ten umarł, odeszłaby ztąd, sądząc, że już niczego więcej spodziewać się nie może.

„Dlatego to odjeżdżam, chcąc umrzeć w oddaleniu. Ażeby weszła tu ona, trzeba by nie wiedziała o mojej śmierci. Jeżeli matka Angeliny jest szczęśliwa, niech nie wie, że stary szaleniec, oszukany a niekochany, myślał o swem jedynem dziecięciu aż do ostatniego tchnienia, marzył o niem z miłością i gorącem pragnieniem ujrzenia go choć raz jeszcze! Niech ona nigdy się nie dowie, jakim był jego smutek i ile cierpiał!

„Gdyby jednakże Ellena była nieszczęśliwa... gdyby Angelina przybyła tu kiedyś... O! ty ją poznasz po jej anielskiej postaci, którą znasz już na pamięć w każdym rysie twarzy z portretu jej babki, poznasz ją, gdy wymówi me imię. Wtedy to otwórz ten list i działaj według mej woli dla miłości Bożej i spokoju mej duszy! Przyjmij Angelinę, przyjmij i jej matkę razem.

„Powiedz mej córce, że wszystko, co się tu znajduje, do niej należy; że tu, gdzie serce ojca oczekiwało na nią przez długie lata, znajdzie ona wszystko w tym domu wraz z cichem i spokojnem schronieniem. Powiedz jej, że ją nad życie kochałem, że całą swą egzystencyą dla niej poświęciłem i że przebaczam jej matce z głębi serca.

„Niech cię Bóg błogosławi, drogi mój Erwinie, i czyn twój wynagrodzi!

Twój stryj
doktór Irnerius."

Spojrzałem na Angelinę. Nie kryła już w dłoniach swej twarzy. Spokojna i zadumana, siedziała w fotelu z rękami na krzyż założonemi. Powstałem. Widząc mnie nadchodzącego, uniosła głowę żywo.

— Panie Erwinie — wyrzekła, — widziałeś mnie dziecinną, kapryśną przed kilkoma minutami.

— Lecz pani...

— Nie przerywaj... wysłuchaj mnie, proszę. Jestem córką twojego stryja...

— Wiem o tem.

— Moja matka opuściła go, uwożąc mnie z sobą, gdy byłam małem dziecięciem. Zmarła ona przed trzema tygodniami. Na łożu śmierci opowiedziała mi całe swe życie i uznała się mocno być winną. Wyznała mi błąd swój, nakazując powrócić do mego ojca i żyć z nim razem. Jego wspomnienie i ufność w nim moja złagodziły mą boleść. Znalazłszy się samą na świecie, przybyłam tu do jedynego schronienia, gdzie spodziewałam się znaleźć mego opiekuna. Przybyłam z sercem zranionem, zniechęcona, smutna. Dlatego to płakałam przed chwilą, lecz teraz już jestem spokojna. Gdzie jest mój ojciec? Jak prędko wróci? Powiedz mi, powiedz, czy mam jechać do niego... powiedz gdzie znaleźć go mogę? Czy ukrył się może, aby nie widzieć mnie więcej? Nienawidzi on mnie, być może, z przyczyny mej matki? Jeżeli tak jest, wrócę zkąd przybyłam i zostanę śpiewaczką jak niegdyś, mimo że nie lubię teatru, do którego mnie matka przeznaczyła. Gdyby mi przyszło nie mieć już ojca, pozostanie mi jeszcze silna wola i energia. Wszedłszy tu, byłam jak obłąkana, lecz zwolna odzyskuję spokojność. Pragnę przedewszystkiem, abyś mnie pan nie uważał za kapryśne dziecko, dlatego ci to opowiadam. Mów teraz, proszę.

I znów ujrzałem tę postać dziewczęcą, dumną, pewną siebie, postać kobiety południa, pełną siły i ufności w sobie.

— Gdzie jest mój ojciec?... powiedz mi pan—powtórnie spytała.

Stałem milczący, trzymając papiery w ręku, agdy odebrać mi je chciała:

— To nie jest list — wyrzekłem z wahaniem, — ale... testament.

Krzyknęła boleśnie i znów usiadła. Mała jej główka opadła na piersi bezwładnie, załamała ręce i sądziłem, że zacznie płakać nanowo. Pozostała jednak w milczeniu.

— A ten testament — ciągnęłem dalej, — o pani tylko mówi jedynie. Papiery te zawierają tytuł własności majątku i wszelkie do niego prawa, majątku który wyłącznie do pani teraz należy. Ten stary dom, to ojcowskie gniazdo są twoje. Jesteś pani bogata, masz zapewnione dostatnie utrzymanie. Mnie to zmarły mój stryj zlecił powiadomić cię o tem, ponieważ byłem jedynym jego krewnym, ponieważ sądził mnie godnym swojej ufności i ponieważ jestem zarówno kuzynem twoim, panno Angelino. Ufność tę jego zyskałem przez pamięć na zmarłego ojca mojego, którego czcił i szanował za jego prawość charakteru i wielką uczciwość. Zaufaj mi, pani, jak mi zaufał twój ojciec. Jesteś zmieszana i zaniepokojona — dodałem, — zostawiam cię, potrzebujesz spoczynku i ciszy. Przeczytaj pani ten list, proszę, a jutro, gdy się przebudzisz, zadzwoń na służącą. Oto sznur od dzwonka.

Położyłem na stole papiery i ukłoniwszy się, odszedłem. Widziałem że potrzebuje spoczynku, wszystkiemi temi wypadkami zdała się być głęboko wzruszona. Udawszy się do pokoju, w którym niegdyś zamieszkiwałem po swojem tutaj przybyciu, nierozebrany rzuciłem się na łóżko, przez resztę jednak tej nocy nie spałem wcale.

IX.

Nazajutrz wstałem bardzo rano, a obudziwszy Lizę, opowiedziałem jej o przybyciu nowej pani domu, która była córką doktora Irneriusa. Nie pozwalając wdawać się w zapytania, posłałem ją śpiesznie nagórę dla dowiedzenia się, czyli nasza przybyła już wstała i nie potrzebuje czego.

Przez ten czas chodziłem po swoim pokoju, zwracając uwagę na najmniejszy szelest, dający się słyszeć na schodach.

Rozmyślałem nad tem przeważnie, czego jeszcze brakować mogło, aby uczynić mieszkanie to przyjemnem młodemu dziewczęciu. Rozmyślałem również o swoim powrocie do Heidelberga, do Heidelberga... niestety, do mego starego pokoju. Życie jednakże moje miłe tu było, pomimo cierpień, jakie przebyłem.

Na dworze zajaśniał jeden z tych pięknych ranków zimowych; stary dom zdał się być jak gdyby odświeżonym nanowo.

Nakoniec stara służąca ukazała się w progu, prosząc ażebym wszedł do gabinetu. Pobiegłem, zatrzymawszy się u drzwi Angeliny. Zaczekawszy chwilę, stuknąłem zlekka.

Głos z zewnątrz dał się słyszeć:

— Proszę wejść!

Angelina, przybrana w swą szarą sukienkę, siedziała przy oknie i jakby odświeżona promieniam słońca, jaśniała uroczym blaskiem młodości. Znalazłem ją stokroć piękniejszą, niż wczoraj. Była spokojna, tak spokojna i poważna, że moja rola opiekuna całkiem zbyteczną teraz być mi się wydała.

— Dzień dobry, kuzynie — rzekła, przyjacielsko podając mi rękę.

Po raz to pierwszy nazwała mnie swoim kuzynem. Wczoraj byliśmy jeszcze sobie obcy. Uścisnąłem jej dłoń, pytając onieśmielony:

— Dzień dobry, kuzynko; gdybyś potrzebowała czego do swej toalety, poślij za kupnem starą Lizę. Ja przyznam ci, nie znam się na tem, jestem niestety starym kawalerem, żyłem samotny.

Uśmiechnęła się, wskazując mi krzesło.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z chwili bieżącej.

† **Ś. p. Jan Tatarkiewicz.** We środę, dnia 2 b. m., o godzinie 2 po południu, po krótkiej ale ciężkiej chorobie rozstał się z tym światem Jan Tatarkiewicz, znany artysta i reżyser teatrów warszawskich. Przez zgon jego scena naszaciężki poniosła uszczerbek, tracąc w nim siłę wielce użyteczną. Był bowiem nieboszczyk inteligentnym aktorem, grywał jedne role lepiej, drugie słabiej, ale żadnej nie zepsuł. Z ról kochanków, które zwłaszcza na początku karyery były jego udziałem, wywiązywał się wcale nieźle, zwłaszcza jeśli uwzględnimy powszechny w tych czasach nieurodzaj na pierwszych amantów scenicznych. Role rezonerów i charakterów gwałtownych najlepiej przypadały do jego usposobienia i talentu; tragiczne postacie nie leżały w zakresie jego zdolności, choć do nich rwał się z zapałem. Repertuar miał ogromny, grywając tak rozmaite role przez lat 25; właśnie bowiem w bieżącym roku obchodził jubileusz dwudziesto pięcioletniej swojej aktorskiej działalności.

Jako reżyser, które to stanowisko zajmował przez lat trzynaście, odznaczał się wielką pracowitością i starannością, tem bardziej zasługującą na uznanie, że zajęcia reżyserskie nie wstrzymywały go od częstego stosunkowo występowania na scenie, w rolach częstokroć nader pracowitych. Jego jest zasługą, że pobyt u nas Meiningeńczyków nie przeszedł tutaj bez śladu; starał się on jako reżyser skorzystać z ich wzorów w granicach możności, zakreślonej miejscowemi warunkami. Poziom zewnętrznej wystawy na naszej scenie bezsprzecznie podniósł się znacznie za jego reżyserstwa.

Wobec stopniowego zanikania prawdziwych talentów scenicznych i szczerej miłości sceny wśród rzeszy aktorskiej, ubytek Tatarkiewicza, któremu, w pewnym przynajmniej stopniu, przyznać trzeba zarówno jedno jak drugie, tem boleśniej da się uczuć zarówno teatrowi, jak teatralnej naszej publiczności, której jednym z większych ulubieńców był nieboszczyk.

* **Reforma instytucyi posłańców** w mieście naszem ma nastąpić na podstawie wzajemnego stowarzyszenia się samychże posłańców. Odbyły się już nad tem narady przyszłych stowarzyszonych i poczyniono odpowiednie kroki do władzy. Pomysł tej reformy słuszny jest i rozumny w zasadzie, byle tylko nie zachromał w wykonaniu.

* **Lutnia** ogłosiła konkurs muzyczny na chór męzki na 4 głosy, *a capella*, do ballady Or-ota „Śpiewak zwycięzca." Nagrodę za utwór bezwzględnie dobry stanowić będzie 50 rs. w złocie. Tekst ballady, na żądanie, zarząd „Lutni" wydawać będzie w poniedziałki i piątki wieczorem, w lokalu swoim, w gmachu resursy Obywatelskiej.

Prace konkursowe winny być nadsyłane pod adresem „Lutni" najpóźniej do dnia 1 Marca 1892 roku.

* **Bajka o Galasiewiczu.** O sympatycznym pisarzu scenicznym i wybornym w rolach chłopskich aktorze Galasiewiczu rozeszła się była wiadomość, która boleśnie dotknęła jego znajomych i ceniących jego zdolności. Wiadomo, że Galasiewicz od lat paru cierpi na nogę; otóż naraz pojawiła się wieść, że w Krakowie, gdzie artysta obecnie bawi, tak mu się pogorszyło, iż musiano mu odjąć stopę. Tymczasem wiadomości tej zaprzeczono kategorycznie; w Krakowie wyjęto Galasiewiczowi jedynie małą kostkę, która się oddzieliła po operacyi dokonanej w Warszawie, jak się to zresztą często zdarza w razach podobnych. Galasiewicz ma się dobrze i niebawem wybiera się do Warszawy.

Ciekawa to jednak rzecz, jak się takie bajki tworzą? Kto je i w jakim celu wymyśla?... Wielka szkoda, że o tem dowiedzieć się trudno, jeśli nie niepodobna; gdyby bowiem nie to, twórcy kaczek tego rodzaju możnaby poradzić, żeby dar swój improwizatorski w inny sposób, korzystniejszy dla siebie i dla innych, spożytkowywał. Kto wie, gdyby się dało pomysłowość naszych bajczarzy ku pożytecznym skierować celom, może nie potrzebowaliśmy zazdrościć Ameryce jej Edisona?!...

* **Wystawa szkiców.** Nie sprawdziły się wieści, nad któremi ubolewaliśmy w tem miejscu: mamy i tego roku „Wystawę szkiców," a urządził ją zarząd Salonu spółki artystów. Na pierwszą chwilę, na dzień otwarcia, które nastąpiło w poniedziałek 30 z. m., jak to u nas zwykle bywa, nie stawili się do apelu wszyscy, którzy nadesłanie swoich szkiców zapowiedzieli; widzieliśmy dużo miejsc pustych, zarezerwowanych dla tych nieuniknionych maruderów, a jednak moglibyśmy zanotować spory zastęp nazwisk tych, którzy umieli dotrzymać terminu. Obok Gersona, jednego z głównych kierowników artystycznych Spółki, wystawił Kostrzewski wyborne „typy warszawskie," Brzozowski jakiś widok leśny, Alchimowicz kilka szkiców olejnych, Maszyński kilkanaście widoków akwarelowych; wreszcie dużo ładnych rzeczy dali Mirecki, Popławski, Lindemann (mnóstwo akwarel trącących tu i owdzie impresyonizmem) Dąbrowski Stefan i kilku innych.

Z artystek, pod wodzą panny Zofii Stankiewiczówny, zaprezentowały się pani Powsikowa, panna Kanigowska, pp. Bobińska, Kuczyńska, Kułakowska i inne, bądź-to ze szkicami, bądź z okazami sztuki stosowanej. Panny Stankiewiczówny nazwisko mówi samo za siebie; pani Powsikowa ma już także ustaloną renomę, mianowicie w dziale sztuki stosowanej; p. Kanigowska wystąpiła z długim szeregiem zajmujących olejnych notatek ze świeżo odbytej po Włoszech podróży, choć najbardziej podobał nam się widok lasu rodzimego, z drogą przezeń idącą.

Pani Kuczyńskiej oglądaliśmy parę ładnych główek wypalanych w drzewie, oraz istne cacka, stoliczki ozdabiane pędzlem pp. Bobińskiej i Kułakowskiej, Poświkowej i Jadwigi Sokołowskiej.

Luki dotychczasowe wypełnią się zapewne niebawem, a następnie, jak to wiemy z doświadczenia, spóźnieni będą musieli czekać, aż się dla nich otworzy miejsce po obrazkach zakupionych. Wtedy zajrzymy jeszcze kilka razy na „wystawę szkiców" i może wam obszerniej o niej napiszemy.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani N. J. we Włocławku. Dotąd nie było przykładu starania się o patent nauczycielki rysunków, nie możemy tedy pani pod tym względem objaśnić. Co do drzeworytnictwa, można dzisiaj przy niem z głodu umrzeć, dzięki zupełnemu jego upadkowi. Drzeworytnicy mężczyźni porzucają je, skoro tylko mogą, jako najprawdziwszy a bolesny *zawód.* Drzeworyty zastąpiono przeważnie w pismach ilustrowanych tak zwanemi *trawionkami*, które są gorsze, ale... o wiele tańsze.

Redakcya „Tygodnika mód i powieści" przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i dla wszystkich prenumeratorów Prospekt „Gazety warszawskiej" oraz dla prenumeratorów na prowincyi Prospekt „Przeglądu tygodniowego."

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Ноября 1891 г.

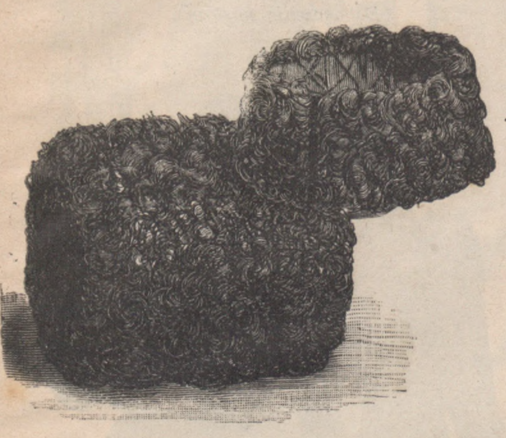
Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.



N. 16. Berecik futrzany.



N. 17—18. Kołnierz i mufka z baranków.

na ryc. 38 wierzch daje się z futra o krótkim włosie, zaś obłożenie jest odmienne z futra puszystego. Podszewka jedwabna.

N 40—41. Kołnierz chusteczkowy futrzany.

I na tym kołnierzu podobnie jak na opisanym powyżej ładnie przedstawia się połączenie dwóch odmiennych futer, ciemnego z popielatym barankiem. Na ryc. 41 *a* oznacza część przednią, *b* połowę pleców; obłożenie jest 6 cent. szerokie, podszewka jedwabna matowa.

N. 42 — 45. Skrzydełka i wstążki do kapeluszy.

Kolorowe skrzydełka ciągle stanowią modne przyozdobienie kapeluszy, ryc. 42 przedstawia skrzydełko ciemno ponsowe w białe centki, zaś na ryc. 43 widzimy fantazyjne skrzydełko, wycięte ze sztywnego płótna podług kształtu prawdziwych starożytnych skrzydeł i naszyte świecącemi się stalowemi blaszkami. Między rzędami blaszek wyszyte rzędy łańcuszka z nitki srebrnej, danego cztery razy w około brzegów. Stosownie do koloru kapelusza trzeba użyć blaszki srebrne, złote lub kolorowe. Wyszywane pokrycie do kapotek również jest bardzo modne; gotowe dostać można w magazynach, ale z łatwością można wyszyć własnoręcznie. Rycina 44 przedstawia kawałek piaskowego sukna, na którem wyhaftowane denko do kapotki i rondko 4 cent. szerokie, świecące blaszki czerwonawo-żółte przyszywane są złotemi perełkami. Wstążki do przybrania używają deseniowe w połączeniu z gładką repsową lub aksamitką; r. 45 przedstawia wstążkę czarną atłasową z brzeżkami złotemi przerabianą w złote punkta, druga wstążka vieux rose w kwiaty białe i złoto-żółte.



N. 20. Kapelusik filcowy.



N. 21. Czapeczka dla dziewczynki.

N. 46—49. Rękawiczki zimowe.

Odrobione na drutach z kordonku francuzkiego zakończone są szlakiem ażurowym podług ryc. 47, albo też sztylpą z mocnego safianu w deseń wyrzynany, którego połowę w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 49.



N. 19. Kamizelka chusteczkowa.

Opis do N-ru 50.

N. 1. Suknia z szarfą z wstążki.

Na podszewce czarnej jedwabnej zwierzchnia suknia jest z czarnego deseniowego tiulu, liczy 288 c. i składa się z trzech brytów z których przedni jest ścięty ku górze. Dolny brzeg zakończa falbanka 14 c. szeroka, przemarszczona w nagłówek. Na gładkiej podszewce przodów ułożony plastron z żółtej krepy, marszczony z dwóch kawałków po 20 c. szerokich, 50 c. długich; górny brzeg wszyty w kołnierz 5 c. szeroki, zapięcie zasłania torsadka z perełek. Przody i plecy pokryte marszczonym tiulem, boczki gładkie; riusza stojąca kraje się w jednym ciągu z plecami. Bufiaste rękawy wszyte w sztylpę z materyi czarnej 20 c. wysoką. Na kokardy, pasek i szarfę użyta wstążka repsowa 6 c. szeroka; końce spuszczone liczą po 84 c.



N. 22. Dolmanik futrzany.

N. 2, 3 i 25. Ubranie strojne i płaszczyk z szerokiemi rękawami.

Suknia z kolorowej krepy wełnianej przybrana torsadką złotą i bufkami tiulowemi, stanowiącemi z boku klin 27 c. szeroki, zwężony ku górze i ramiączka przy staniku. Przody zachodzą skośno do boku i przypięte są rozetą. Dogodny do zarzucenia płaszczyk z szerokiemi rękawami, uszyty z granatowego sukna na atłasowej pikowanej podszewce, obłożony 5 cent. szeroko futrem popielatem. Podszewka watowana dopasowywa się gładko, wierzch zaś przymarszczony wokoło szyi i na wcięciu stanu z tyłu. Od spodu przyszyta wstążka do związania w pasie; fałdy pleców żeby się zbyt nierozsuwały przytrzymane dwoma kawałkami wstążki przyczepionemi do szwów bocznych w odstępie 26 i 66 c. od dołu, jeden jest 14, drugi niższy 18 c. długi.

N. 4—5. Pudełeczko na druty.

Stanowić może dogodny podarunek od wnuka dla babci i składa się z dwóch deseczek 22 c. długich, 10 cent. szerokich, przy których wokoło brzegów przyklejone listewki 1 c. szerokie. Obie połowy połączone są zawiaskami i od wewnątrz wyklejone kolorowym atłasem a zwierzchu ozdobione malowaniem lub płaskorzeźbą.

N. 6, 12 i 15. Szyfonierka na ściereczki od kurzu lub drobiazgi.

Składa się z trzech kawałków tektury połączonych z sobą: denko ścięte półokrągło 20 c. długie, 10 na środku szerokie, tylna ścianka 20 c. długa i przednia 39 c. Od strony wewnętrznej ścianki powleczone ponsową satynką, zewnątrz zaś ściankę przednią pokrywa lambrekina wycięta w cztery zęby, po 10 c. szerokie, 10—16 c. długie. Tło stanowi kanwa cienka nie dzielona lub kanwa kongresowa, grubość naturalną przedstawia r. 12, na której widać także łatwe i pośpieszne



N. 23 — 24. Płaszczyk formą burnusa.

N. 25. Płaszczyk z szerokiemi rękawami.



N. 26. Czepeczek koronkowy.

wyszycie. Żeby wyszycie dobrze wypadło w zębach, trzeba dać je wzdłuż, podług r. 6, desenik zaś daje r. 15. Każdy znaczek zajmujący po dwa kwadraciki równa się pięciu ściegom przeszytym przez dwanaście nitek tła, przy górnym prostym brzegu wypada naprzemian zajmować przez sześć nitek. Między wyszyciem przewłóczony sznureczek złoty; u góry dany sznureczek pleciony i kółka do zawieszenia — pompony dopełniają przyozdobienie.

N. 7—8 i 13. Kołnierz i mufka włóczkowa dla dziewczynki.

Model odrobiony był z włóczki angielskiej na warsztaciku ręcznym, ściegiem pentelkowym dwoma czółenkami, jedno z nitką pojedyńczą na podstawę, drugie z nitką podwójną na pentelki; r. 13 daje próbkę roboty tkackiej ręcznej. Dla osób nieumiejętnych lub niemających wcale warsztaciku dodajemy, że garniturki dla dzieci można robić szydełkiem. Mając pokrycie gotowe trzeba dopasować podszewkę; najpierw bierze się watę i powleka rzadkim muślinkiem podszewkowym na który z jednej strony kładzie się materyę zeszytą w kółko a z brzegów założoną 5 c. szeroko i przeszytą do nawleczenia elastyki. Sznur z pomponami zakończa mufkę. Na stojący kołnierzyk trzeba kawałka 36 c. długiego, 5 szerokiego, lekko podwatowanego i podszytego materyą; wązka wstążka wiąże się w długą kokardę.

(Dokończenie nastąpi).



N. 30—31. Ubranie wizytowe z frakowym stanikiem. Patrz ryc. 32.



N. 27—28. Ubranie jesienne (paletocik i spódnica zapinana z przodu). Patrz ryc. 29.



N. 29. Ubranie jesienne. Patrz ryc. 27—28.



N. 35. Płaszczyk z pelerynką. Przód do ryc. 33.



N. 32. Spódnica do ryc. 30—31.



N. 33. Płaszczyk z pelerynką dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 35.

N. 34. Suknia z karczkiem dla młodej panienki.